



## PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

### Prenumerata w Warszawie.

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

### Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie;

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rs. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBERG.**

KSPEDYCYA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Włodzimierska Nr. 4.

W Cesarstwie Austryackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80.

W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgerbera i Spół. kwartal. 5 marek.

## POGA WĘDKA.

Och, gdyby można było o niczem nie myśleć, przez dzień jeden, godzinę jedną! Stać się kamieniem, ale to zupełnym kamieniem, w którego łono nie wnika żadna deszczu kropla, którego pierś jest obojętną na wszelkie teźnienia wiatrów, na wszelkie żary słońca, pościski gradowe i uderzania piorunów; gdyby na jeden dzień, godzinę jedną stać się można było tym zimnym, beczuciowym głazem — możeby myśl odpoczęła, z większą siłą serce zabiło, do jakiej takiej równowagi rozstargane nerwy przyszły. Zmęczony jestem, okrutnie zmęczony wszystkim, co mnie otacza: naturą, ludźmi i — samym sobą, a kto wie czy nie najwięcej tym ostatnim. Gniewają mnie myśli własne i bicie własnego serca. Czasami mi się zdaje, że — że... (ach! myśl godna kandydata do Tworka) że jakaś dłoń barbarzyńska w ścienny zamieniła mnie zegar, wszystkie myśli, uczucia i pragnienia podzieliła na godziny i kwadransy, minuty i sekundy i o każdej wykreślonej z góry porze kazała wybijać pewną ilość tych pragnień, myśli, uczuć.

Dwunasta!

Trzynastej wydzwonić nie wolno...

I po co?

Zakres dnia się skończył — i dobrze ludziom z tym astronomicznym rachunkiem.

Koło się obraca...

Znowu: jeden — dwa — trzy... aż do fatalnej dwunastki.

Owa jednostajność szalona! co za przekłeta granica dla myśli ludzkiej, wrzących uczuć, pragnień, chcących przebić cieplarnianą kopułę Meterlineka!

I nieraz dzika chętka mię bierze jakieś kółko zepsuć, jakiś włos nadwreżyć w tym zegarze. Niestety, wstrzymał się, stanął na dzień jeden, godzinę jedną; tak zużony jestem tym upałem słonecznym, tym ciągłym, nieustannym ruchem miasta, tym miarowem liczeniem myśli, tą dawką uczuć, rozdzieloną na grammy i uncje. O tej godzinie myśl, o tej godzinie chciej — myśl o tem tylko, chciej to tylko.

Wy, łaskawi czytelnicy nasi, nie zrozumiecie może tego nużącego obowiązku kronikarza; nie jeden z was nurza się w zieloności traw siedzib wiejskich, rozkoszuje się wonią pól, słucha szczebiotu ptaszcęgo świata, pełną piersią wchłania oddechy wiatrów; oczy wasze nasycają się widokami gór lub lasów; słodkie marzenia skleja ją do snu powieki.

Ja wiem, że kwiaty gdzieś kwitną,

Srebrzysta rosa opada,

Że niebo szatą błękitną,

Gwiazd miliardami gdzieś gada;

Że czasem, któraś z łańcucha

Zerwie się i po przestworzu

Przeleci z milczeniem ducha

I w cichem utonie morzu.

Ja wiem, że gdzieś na zagonie

Błyszczą już sierpy i kosy,

Że łąk skoszonych czuć wonie,

Brylanty świecą w łzach rosy;

Że słońce kapie gdzieś złotem,

Cicho jest, wonnie i jasno...

Chcę tylko — nie wiedzieć o tem,

Lecz wszystko — wchłonąć w pierś własną.

Ot, mimowoli i piosenka na usta mi wybiegła skromna, cicha — tak skromna i cicha jak dzisiejsze pragnienie moje: trochę słońca, trochę więcej

powietrza, trochę szerszej przestrzeni dla myśli — i chciałem choć piosnce tej dać nieco więcej pola, ale nieznośne zegarzysko, wiszące nad biurkiem w mojej pracowni, z nieznośną powagą dwunastą uderza.

Dwunasta!

A potem?

— Jeden — dwa — trzy...

Zwinęło się natchnień skrzydełko, zaryglowała się przedemną obręcz zaklętego koła.

Odłożyłem pióro na bok i zbliżyłem się do okna.

Ospale słońce dobiega szczytu, tu i tam, powolnym bardzo, jakimś sennym ruchem, sunęły się chmur białe plamy; z wysokości swojego mieszkania widziałem wlokące się chodnikami postacie ludzkie, bruk turkotał pod rozklepanymi kołami dorożek warszawskich, ciągnionych przez okaleczone rumaki; unosił się kurz lekki... lecz to z konwią lub węzłem gumowym wychodzi stróż z bramy i spełnia swoją powinność. To wszystko widziałem wczora, widzę dziś; jutro widzieć będę, pojutrze... Co za bogactwo wrażeń!

Dzwonek...

Służąca otworzyła drzwi.

— Po rękopis do drukarni! słyszę znajomy głos chłopca.

Hal! ledwiem małych stron parę nakreślił i nie zupełnie udatną rzucił piosnkę na papier...

— Przyjdź za godzinę, chłopcze!

— A będzie, proszę pana autora? — bo tam czekają?

— Oczywiście, że będzie.

— To może ja zaczekam...

— Masz dziesiątkę na piwo — a za godzinę przychodź!

Stuknąłem się potem w głowę — pustki.

Nie wzrokiem już, lecz słuchem, wybiegłem na ulicę...

Turkocą pojazdy; wdali słyszę uderzenie dzwonka tramwajowego i — nie nadto.



Gorąco, upał—omdlał nawet ruch miasta. Nieznośny jest ten ogórkowy sezon, ta jednostajna cisza czy gwar jednostajny. Gdyby choć katarzynka odezwała się.

A to życzenia!

Pamiętam, że przed paru laty, gdy katarzyniarze niezmiernie kręcili korbami od rana do wieczora; gdy na ulicach i w dziedzińcach kamienic brzmiały arye z „Pięknej Heleny,” „Carmen” lub „Ptasznika Tyrolskiego”—byłem jednym z pierwszych, którzy wystąpili przeciw tej ulicznej muzyce, trapiącej pracowników pióra. Nawoływania poskutkowały—zniknęły katarzynki, jakby je wiatr zdmuchnął. Ale...

O, przysłowia ludowe, jakżeście mądre!...

Jedno z nich mówi:

„Wymieniał stryjek za siekierkę kijek...

Wymieniliśmy katarzynkę na—harmonią...

Doprawdy—lepszą była siekierka.

Najbardziej rozstrojona katarzynka nie rozstrajała tak nerwów ludzkich, jak zastępujący jej miejsce instrument nowy. Repertuar pierwszej, bądź co bądź, był znacznie bogatszy, znalazł się tam czasem jakiś melancholijny walczyk, który mimowoli tęskną myśl w sercu naszym rozbudził, a jeżeli wykonawca zdobył pewną wprawę w obracaniu równem rączką instrumentu—nie zawsze gubił się rytmem piosenki. Machina już sama śpiewała czyстым lub mniej czystym głosem—to zależało od jej młodości lub lat sędziwych. Harmonia wymaga już nauki, wprawy palców, wydoskonalonego słuchu, słowem—muzykalnych zdolności. A ponieważ podobne zdolności, w małym stopniu nawet, nie każdemu są dane i nie każdy takt muzyczny uchwycić może—nowi więc ci wirtuozi są prawdziwą plagą kamienic warszawskich.

Katarzyniarze zresztą stanowili cech pewien—liczba ich, jakkolwiek znaczna, określona była. Zimą nie produkowali się artystem swoim, specjalne mieli zajęcia, które nie pozwalały im brać się do instrumentu a popłatniejsze były niż kręcenie korbą. Dopiero ów czas ogórkowy, w którym robotnicy od igły przeżywają swój skromny grosz, zapracowany podczas zimy, wiele rąk zostaje bez zajęć—wyganiał na ulice mistrzów od korby, grających nam siarczyste mazurki, oberki zawrotne i walce sentymentalne. Teraz sztukę gry na harmonii uprawia każdy i o każdej porze roku i o każdej dnia godzinie. We dnie rozdierają nam uszy specjaliści od tego instrumentu, a wieczorami stróże domów, majstrowie od kopyta i kto w Boga wierzy. Czasem do świtu to w tej, to w owej suterrenie grają naraz aż dwie harmonie. Tam brzmi walc, pod dźwięk którego tańczyć naszej umiejętności potrzeba; tu mazur jakiś. Tony mieszają się i dla słuchaczy górnych pięter, kat wie, jaka muzyka wychodzi. Zamienił stryjek na siekierkę kijek. O, przysłowia, jakżeście mądre!

Ale oto pojawił się na ulicach Warszawy, w zawiązku jeszcze, lecz bardzo szkodliwy pod wielu względami, proceder nowego zarobku, który w zarodku samym stłumiony być powinien. Proceder ten rzeczywiście prowadzony jest przez starszych, którzy za narzędzie do wyzysku kilkoletniej używają dziatwy.

Przed paru tygodniami dziwnie piskliwe jakieś głosiki w dziedzińcu kamienicy, w której mieszkam, zwróciły moją uwagę. Był to niby jakiś śpiew dziecięcy, którego śpiewem nazwać nie można.

Wychyliłem się przez okno.

Czwórka dziątek,—najstarsze mogło mieć nie więcej nad lat pięć, stanęła kołem, zawodząc z sił wszystkich swoich małych piersi, a pośród tego koła uwijała się nie starsza tanecznicą. Suwała nóżkami w lewo, w prawo, przysiadła, podnosiła w górę ramionka, niby wykonywała jakiś taniec. Po kilku takich skokach, najstarszy z grona, pięcioletni chłopak unosił trzymaną w rękę czapeczkę ku górze, ku oknom otwartym kamienicy, z których wiele ciekawych się pojawiło głów—i wzrokiem błagalnym prosił o datek. Ztąd i ztąd grosz zleciał: chłopak chwycił z łapczywością rzucane pieniądże i z całą gromadką opuszczał dziedzińiec. Oczywiście, że zaszedł jeszcze do jednej i drugiej bramy, tam i owdzie

parę groszy zebrał, a te grosze musiały przejść do rąk jakiegoś nieuczciwego wyzyskiwacza.

Dobrze uorganizowane społeczeństwa starają się, o ile możliwości, wykorzystać u siebie plagę żebractwa. Udało się to i w wielu miastach Królestwa, coraz rzadziej nawet i na ulicach Warszawy dają się spotykać włóczęgi. Jeżeli rozwielenione żebractwo wszelkie jest niczem innym jeno tylko wielkiem zepsuciem pewnej klasy danego społeczeństwa—coś dopiero powiedzieć mamy o tylko co wspomnianym procederze? Tu już zawczasu umysł dziecinny zaprawia się do bezwzględnego brania grosza za parę skoków uczynionych na bruku dziedzińca; lat kilka jeszcze takiej włóczęgi z żebraniny, a nie zapędzisz już rozpróżniaczonego wyrostka do żadnej pracy. Z podobnych tworzą się małe przestępcy, którzy następnie zasiadają na ławie oskarżonych, zapelniają więzienia i zaludniają dalekie strony. Społeczeństwo nie tylko traci dobrego może rzemieślnika, ale samo na siebie wziąć musi moralny ciężar winy.

— Nędznik!—nie jeden z nas powie—widzisz kajdaniarza.

— To ten sam, który na tarasie dziedzińca skakał, a ty rzuconym nieopatrznie groszem, pozwoliłeś mu zasmakować w próżniaczem życiu.

Zamyśliłeś się.

— A cóż zrobić miałem? Dawałem grosze z liłości.

— Lepiejbyś zrobił, ażebyś rozpytał: co to za dziatwa, kto ją nasłał?—Dokończenie wiadome.

— Jakie?

— Albo rzetelna nędza, nędza straszna może złożonej chorobą matki lub ojca, wygnała te dzieci na żebraczkę, albo, co jest pewniejszym—nikczemna dłoń próżniaka lub pijanicy. przymuszonym tańcem tych dzieci wzbudziła nierozumną litość twoją. W pierwszym wypadku są dobroczynne instytucje, w ostatnim—kommissarze policyi. —Widzę niechęć w tobie: Iść, dowiadywać się. Dałem grosz i pozbyłem się kłopotu. Gdy ci później, później, gruba summa pieniędzy z rozbitego kantorka przepadnie lub krzywdę ci fizyczną wyrządzi jakiś napad ponocny—ilebyś dał, by tych ciosów uniknąć?

Zamyśliłeś się znowu, na twem czole poważna myśl się błąka.

Ha—zrozumieliśmy się.

Bodaj cię, ogórkowy sezonie!

Nie wyludniło się miasto, ale przeredziło się bardzo—jeżeli się nie mylę,—bo przeredziło się mniej, niż kiedykolwiek bądź. Przynajmniej tak mi się wydaje. Spoczęła na niem jakaś atmosfera dusząca, oczywiście, upał.

Zaszedłem do jednego, drugiego ogródka...

Niby to gwaro...

Maryna brzmi, kręca się w białych fartuchach lokaje, dzwonią głucho kufle napełnione piwem, a jednak?...

Znużenie, zmęczenie widoczne na twarzach wszystkich...

Może zresztą patrzę przez pryzmat własnej duszy, i cień pada na wszystko, co mnie otacza?

Może...

Bywa i to czasem!...

??

## SKOWRONKI.

Skowronki latają, skowronki —

W wyżyny—w błękity—w lazury —

Nad pola—nad gaje—nad łąki

Do góry—do góry—do góry!

Nim oracz swym pługiem uderzy

I ziemię wygarbi o wiosnie,

Skowronek w obłoki już mierzy

Radośnie—radośnie—radośnie!

Skowronki latają, skowronki

I wiosnę zwiastują swym lotem—

I wrócą nam zielen i paki

Wesołym a gwarnym szczebiotem.

Nad pola—nad szczerę, obszerne

Wysoko—daleko się wznoszą—

I prują błękity niezmierne

Z rozkoszą—z rozkoszą—z rozkoszą!

Nerwowo—szerokiem półkolem,

A szybko—a zwinnie—a szparko

Wzlatuje skowronek nad polem

Za wiosną—zieleni szafarką.

Do góry—do góry wciąż płynie

W bezmierne—niebieskie przezrocze—

I drżącym skrzydełkiem w wyżynie

Trzepocze—trzepocze—trzepocze!

Skowronki latają—skowronki,

Tu jeden—tu drugi—tu trzeci—

Pół złote—pół szare te dzwonki,

Co dzwonią na cichych pól dzieci.

I dzwoniąc—świergocząc—szczebiocząc

Po niebie szerokiem latają

I skrzydłem nerwowo trzepocząc

Śpiewają—śpiewają—śpiewają!

Śpiewają o wiosnie—o siewach—

O trudach—o łanach—o chlebie—

O ciepłych zefirów powiewach,

O tęczach—o kwiatkach—o niebie;

O dziewcząt i chłopców tęsknotach,

O srebrnych szemrzających ruczajach,

O pieśniach, o woniach, pieśczętach,

O gajach—o rajach—o majach.

A. Lange.

# BEZ WOLI

POWIEŚĆ

przez

WANĘ GROT. BĘCZKOWSKĄ

(Dalszy ciąg).

CZEŚĆ DRUGA.

I.

Prześliczna willa stoi nad brzegiem morza, otulona caprifolium i niezliczonym bogactwem róż białych. Spokojne morze błyszczy w promieniach słońca, jak gdyby rzucono na nie płaszcz z szafirów, brylantów i szmaragdów. Powietrze kryształowe, przesiąknięte zapachem róż, orzeźwia płuca.

W miniaturowym, strojnym w ręczne kwietniki, ogródka bawią się dwie dziewczynki. Obie jasnowłose, z rysami uderzającymi odrazu sprzecznnością wyrazu.

Starsza, siedmioletnia, jest uosobieniem wesołości i figlarnego wdzięku. Z masą złocistych, niesfornych loków na głowie, z szafirowymi jak włoskie niebo oczyma, z rozkoszami doleczkami na bródce i policzkach, przypomina powabnego Elfa. Śmieją się jej oczy, śmieją usta, śmieje cała twarzyczka, a głosik dziecięcy tyle ma srebrnego dźwięku, uśmiech jest tak porywający, że trudno wzrok oderwać od ślicznego dziecka.

Młodsza, niemniej ładna, stanowi zupełny kontrast z siostrą. W drobnej twarzyczce błyszcza



ogromne oczy. Ciemne, głębokie, otoczone rzęsa, która jest lekko odwinięta; gęsta i długa, wydaje się jakby ufryzowana. I brew jest również ciemną i bardzo regularną. W tych przepięknych oczach jest jakaś ogromna siła. Gdy mała spojrzy, dziwnie miękko robi się koło serca każdemu. Smutne są, bardzo smutne! Jak błędne ogniki migają w nich światełka i świecą nieporównanym blaskiem.

Cerę ma dziewczątka blade, niemal przezrystą, usta za to mocno czerwone i wypukłe.

Obie siostry ubrane są w lekkie białe bluzki, z odkrytymi ramionami i krótkimi rękawkami. Ogromne pasterskie kapelusze, przy ożywionej zabawie, pozsuwały im się z czola.

— Proszę cię, Lorko, nie zabieraj mi wózka—mówi drżącym głosikiem smętna dziewczeczka. — To mój wózek! Chcę się także trochę pobawić!..

Lorcja udaje, że nie słyszy. Popycha wózek jeszcze prędzej i śmieje się wesoło. Spoczywa w nim, w koronki i batysty spowita, ogromna lalka.

— Przewrócisz i obudzisz „miss Alicya“—woła znów młodsza dziewczeczka. — Byłeś jej tylko co złego nie zrobiła!..

Obawa dźwięcy w głosie dziecka. Lorcja objechała klomby i zawróciła ku siostrze.

— Jadę teraz do morza, utopić miss Alicya—mówi poważnie.—Zobaczysz jak będzie pływać!.. Chodź ze mną, Wańdziu!

W wielkich oczach dziecka stanęły dwie łzy. Odwróciła się od siostry i, nie odpowiadając, poszła ku werandzie.

— *A rivederci!*—wołała za nią wesoła Lorka.—Miss Alicya kazała ci się kłaniać!..

Wańdzia nie obejrzała się nawet; łzy spłynęły po białej twarzy; otarła je szybko. Waleczyła też z wycieczką, aby się nie obejrzała poza siebie.

— Utopi miss Alicya—szepiała drżącymi nsteczkami.—Z pewnością utopi!..

Na werandzie ozwał się płacz dziecka. Mała zapomniała o lalce i biedz zaczęła.

— Muszka płacze!.. Muszka się obudziła—wołała zalekniona i przyspieszyła kroku.

Ma werandzie stał elegancki wózek. Pod różową jedwabną zasłoną spoczywało tam dziecko, pięknnością nieustępujące siostrze.

Mała, kilkumiesięczna Muszka tłuściutka była i okrągła jak wałeczek, różowa jak jutrzienka. Zbudzona ze snu, patrzyła teraz na siostrę pojętnymi siwemi oczyma. Przestała płakać, póki twarz siostry była dla niej ciekawym zjawiskiem; gdy się z nią oswoiła, rozpląkała się jeszcze głośniej. Wańdzia traciła głowę.

— Luli, luli, Muszka—zaczęła śpiewać, całą siłą—popychając wózek. — Niania przyjdzie, da mleczka, luli, luli koteczka—improwizowała bezwiednie, a dziecko wciąż krzyczało.

Na werandę wszedł Stanisław. Osiem lat za granicą spędzonych zmieniły go o tyle, że trudno było poznać w tym szczupłym, o cerze bladej i zapadłych oczach mężczyźnie dawnego Stanisława, pełnego siły i świeżości młodzieńczej. W całej postaci, która, jakby pod ciężarem czegoś tłoczącego, chyliła się ku ziemi, widać było przygnębienie i dziwną jakąś obojętność. Smutne, apatyczne oczy ożywiły się dopiero na widok dzieci.

Wandzia spostrzegła ojca i przypadła do niego z radością.

— Papo, papo—woła.—Muszka się obudziła!.. Muszka chce jeść!..

Stanisław obejrzał się wokoło i stanął przy wózku. Muszka знаła już ojca, uspokoiła się i zatrzepotała rączkami.

— Ta, ta, ta—zaczęła szczebiotać, śmiejąc się rozkosznie.

Ojciec delikatnie uniósł małeństwo, otulił jedwabną kołderką i wziął na ręce. Wańdzia stanęła przed siostrą, klaszcząc wesoło.

— Musia kuku!.. Musia caca—woła. Śmieją się obie uszczęśliwione, że ojciec jest z nimi.

I on był niemniej rad!..

— Gdzie Lora?—pyta. — Cóż to znaczy, że jej szczebiotu nie słyhać? Jeżeli wpadła do domu, z pewnością mamę obudził!..

Twarzyczka Wańdzi zachmurzyła się. Przytuliła się do ojca bardzo smutna.

— Gdzież Lorcja?—pyta Stanisław. — Dawno tu była?

— Lorcja poszła utopić miss Alicya—szepnęła wreszcie.—Zawiozła ją do morza!..

— Gdzie? — Stanisław schwycił małą za rączkę.—Kto z nią poszedł?—pyta.

— Nikt. Pojechała tylko z miss Alicya—odparła zasmucona dziewczeczka.

Stanisław zerwał się gwałtownie i włożył małą do wózka.

— Pilnuj, Wandziu, aby Muszka nie wypadła—zawołał i jak szalony wybiegł z ogrodu.

Lorka tymczasem, z błyszczącymi tryumfująco oczkami, dojeżdżała do celu podróży. Wybrzeże było puste. Gdyby nie to, że wózek o wiele trudniej toczył się po piasku, niżeli po żwirowej alei ogródka, byłaby już dawno utopiła lalkę. No, ale przecież dojedzie. Jak to dobrze, że mama tak długo śpi!.. a niania, gdy tylko napełni łakociami kieszonki fartuszek, zaraz wybiega do lasu. Nawet dziś z rana i butelkę wina niosła!..

Ciekawa rzecz: czemu jej—Lorci, nie pozwala nigdy pójść z sobą. Ale otóż i morze! Jakie śliczne! Stanęła olśniona.

— Miss Alicya—mówi, zwracając się do lalki.—Trzeba się rozebrać do kąpieli. I ja tak zrobię!..

Usiadła na piasku i zaczęła zdejmować pantofelki.

— A jaki piasek gorący!—szepnęła. — Trzeba zamoczyć w wodzie nóżki.

Odłożyła kąpiel lalki na później, chcąc pierwej sama tej rozkoszy spróbować.

Stanisław biegł, ile mu sił starczyło. Widział dziecko przed sobą, wołał, o ile mógł najgłośniej, ale mała, wsłuchana w szum morza, oczarowana jego pięknnością, nie słyszała.

Weszła w wodę i zatrzymała się. Było jej wprawdzie bardzo miło, chłodno, ale miała pewne wątpliwości co do białej sukienki. Jeżeli ją zamoczy—co powie mama? A mama, chociaż taka śliczna, gniewać się potrafi.

Zaniepokojona, stała na brzegu, rozpryskując wodę nóżkami; Stanisław dobiegł wreszcie. Był śmiertelnie błydy, mimo upału i szybkiego biegu. Krople potu stały mu na czole, ledwo oddychał.

— Lorciu!—woła na córkę—Lorciu!..

Odwróciła się i spojrzała radośnie na ojca.

— Papa! Ach, jak to dobrze—zawołała.—Kontenta jestem, że papcio przyszedł. Czy mogę wejść dalej w wodę? Czy mama nie będzie się gniewać? Czy p. Liza nie wyszła jeszcze ze swego pokoju? A Wanda czy nie płacze za miss Alicya?

Rzuciła pytania jedno po drugim, bardzo z siebie zadowolona. Pierwszy raz zrobiła wycieczkę do morza i udała jej się!..

Ojciec ujął ją za rękę i wyprowadził z wody.

— Zabierz wózek i wracaj do domu—rzekł.—Mama, oczywiście, będzie się gniewała. Małe panienki nie biegają same tak daleko!..

Lorka posmutniała. — Nie zamaczałam przecież sukienki—mówi żałośnie.

Zawrócili ku domowi. Ojciec popychał wózek; Lorcja, mileząc, szła obok niego.

— Nie wolno dzieciom bez zezwolenia rodziców wybiegać po za obręb ogródka—mówił do córki surowo.—Słyszałaś o tem niejednokrotnie. Gdybym był nie przyszedł, utopiłabyś się z pewnością. Morze jest bardzo głębokie!.. Czy wyobrażasz sobie, jaka-by to była boleść dla mnie i dla mamy?

Dziewczynka podniosła oczy na ojca.

— A tak—szepnęła.—Papa-by pewno płakał!.. ale mama!..

Zastanowiła się. Ojciec spojrzał na nią zdziwiony.—Cóż mama?—pyta.

—P. Liza, niania i stara Anna mówią, że mama nas nie kocha i nie dba o nas—rzekła rezolutnie.—Słyszałam nieraz!.. Mówiły, że mama tylko siebie kocha; wyraźnie słyszałam.

Stanisław drgnął. Uczuł w sercu ostry, przesywający ból!..

— To nieprawda!—wykztusił ze ściśniętego gardła.—Nie powinny były mówić tego. Mama!.. zająknął się—mama bardzo was kocha—tak, jak i ja!.. I dla tego nie trzeba mamy martwić. Czy

przrzekniesz mi, Lorciu, że nie wyjdiesz nigdy z ogródka?

— Nigdy papo!—odparła, patrząc mu w oczy z miłością.

Zbliżali się do domu, zkąd dochodził głośny płacz dziecka. Muszka dawała tymczasem istny koncert. Nic nie pomagał perswadyjący głos Wandzi.

Z wnętrza domu ozwał się dźwięk dzwonka. Snadź niecierpliwa dzwoniła ręka, bo drżał w powietrzu bezustannie, jakgdyby chciał płacz dziecka zagłuszyć. Stanisław schwycił się za głowę.

— Lorciu, uspokój Muszkę—rzekł do córki.—Pójdę poszukać niani i p. Lizy.

Wbiegł szybko do domu i udał się wprost do sypialni żony. Zastał przy niej Elizę, która na srebrnej tacy przyniosła właśnie czekoladę.

Lila, lekko snem zaróżowiona, uniosła się na poduszkach.

— Nie można się nikogo dowołać—skarżyła się.—Dzwonię i dzwonię!.. Gdzie siedziałaś, Lizo, że nie słyszałaś dzwonka?

— Byłam przy dzieciach—odpowiedziała śmiało.—Gdy się pełni podwójne obowiązki, to nie można podołać wszystkim.

Stanisław stanął przed nią.

— Nie kłam panna—rzekł surowo.—Dzieci były cały ranek same i omal że nie stało się nieszczęście. Lekceważycie sobie służbę a natomiast zajmujecie się plotkami! Oto cała wasza robota! Lila usiadła na łóżku.

— Stasiu, co to znaczy?—pyta.—Ledwo oczy otworzyłam, już jest coś nowego. Czy ja już nigdy spokoju mieć nie będę?

Bolejący wzrok podniosła na męża.

— Nie masz żadnego względu na moje zdrowie—dokończyła z wyrzutem.

Smutny uśmiech zarysował się na twarzy Stanisława.

— Ale-bo nie wiesz, Lili, co się stało!..—rzekł, hamując się i całując rękę żony.—Okropną masz służbę!.. Nie pilnują dzieci, nie zajmują się gospodarstwem, wszędzie nieład, nieporządek!..

P. Eliza uczuła się obrażoną.

— Robię co do mnie należy, proszę pana—rzekła,—pani może zaświadczyć.

Lila ziewnęła. — Istotnie, jestem zadowolona z p. Elizy—poświadczyła.—Może tamte są leniwe!.. Zresztą, mój Stasiu, czy ty możesz znać się na tem?

Stanisław odwrócił się żywo.

— Proszę iść do dzieci—rzekł do Lizy.—Muszka płacze, niema przy niej nikogo oprócz Lorci.

Liza spojrzała na panią, jakgdyby oczekiwała od niej powtórzenia rozkazu; Stanisław to spostrzegł.

— Proszę odejść!—zawołał z gniewem—zdaje mi się, że dość wyraźnie mówiłem.

Liza wyszła, wruszając ramionami.

Stanisław usiadł przy łóżku żony.

— Okropnie masz zdemoralizowaną służbę, kochanko—rzekł, obejmując ją ramieniem.—Trzeba by koniecznie zaprowadzić jakiś porządek!..

— Mój drogi, daj mi pokój!—ofuknęła się niechętnie Lila.—Już zaczynasz nudzić!..

— A jednak musisz mię wysłuchać, najdroższa!—odpowiedział, siłąc się na spokój.—Dawno pragnąłem porozmawiać z tobą!..

Skrzywiła się.

— Pewno znów będzie kazanie!.. To przecież jedna z twoich namiętności—rzekła.

— Czy istotnie mam ich wiele?—spytał, uśmiechając się.

Pochylił się ku żonie i zajrzał jej w oczy.

— Jakaś ty śliczna!—szepnął.—Trudno wymarzyć coś piękniejszego, bardziej uroczonego, niż moja żonusia.

Miał zupełną rację. Nie straciwszy harmonii kształtów, nabrała Lila ciała, zaokrągliły się ramiona, ręce były jak utoczone.

Uwielbienie męża przyjęła obojętnie.

— Powiedz, że mi nareszcie: o co chodzi?—rzekła nadąsana, usuwając się od jego pieszczot.—Pewno bagatela, a narobiłeś tyle hałasu!..

— Nie bagatela, zoneczko—odparł, poważniejąc nagle.—Gdyby cię to nadmiernie nie wrzuciło, opowiedziałbym ci, jakie okropne nieszczęście



spotkać nas mogło, gdybym był wczas nie zapobiegł...

— Cóż takiego?—spytała, poziewając, i sięgnęła po filiżankę z czekaladą.

— Po co te przygotowania? Wiesz, że wrażliwą nie jestem.

Stanisław westchnął.

— Gdy weszłam dziś z rana na werandę—zaczęłam opowiadać—nie zastałam ani mamki, ani Elizy, zgoła—nikogo. W wózku krzyczała Muszka w niebogłosey, Wandzia uspakajała ją, jak mogła; Lorcja tymczasem—wstrząsnęła się nerwowo.—Lorcja wybiegła sama z ogródka i, gdy ją dopędził, stała nad brzegiem morza, olśniona jego pięknnością i z nieświadomością igrająca z niebezpieczeństwem. Nigdy nie zapomnę tej okropnej chwili—dodał—bo... Lili moja, dziewczeczka nasza była już w wodzie i, gdybym o jakie kilka minut się spóźnił...

Nie dokończył. Blady był bardzo i wzruszony.

Lila roziskrzona gniewem oczy podniosła na mówiącego.—To niegodziwa mamka!—zawołała—i Liza będzie ukarana. Okropność co to za męka z temi dziećmi! Nigdy chwili spokoju!

Wysunęła się z objęć męża, zadąsana.

— Odejdź, mój drogi—rzekła.—Muszę się ubierać!

— Jeszcze chwilę, poświęć mi, najdroższa—prosi Stanisław nieśmiało.—Chciałbym ci coś powiedzieć...

— A więc bez wstępów,—zawołała na dobre już rozniewiana.

— Widzisz, mój aniele—zaczęła wahająco—ja wiem, że ty kochasz nasze dziewczeczki, że masz szlachetne i czułe serce, ale... trzeba troszkę więcej zajmować się nimi, bo dzieci czujnego oka matki potrzebują w każdej chwili. Gdyby służące wiedziały, że ciebie to interesuje, że je kontrolujesz, pewno-by troskliwiej zajmowały się dziećmi i w domu byłby ład i porządek. Lili moja!... nie marszcz cudnej brewki. Nie umiem wypowiedzieć, jak mi przykro mówić o tem...

— A mnie, że muszę słuchać—odpowiedziała z gniewem.—Dzieci i dzieci! zawsze dzieci i wszędzie dzieci! Chyba nie na to Bóg je daje, żeby matki swe w kajdanach trzymały!

Wysunęła z pod kółdry maleńkie nóżki i wsunęła je w aksamitne pantofelki.—Zadzwoń na Lizę—rzekła.

— Odesłałaś ją przecież dla tego, aby zajęła się dziećmi—rzekł Stanisław, patrząc na nią z żalem.—Mamka jeszcze nie wróciła, Muszka głodna... Może ja-byłbym pomógł ci w czemkolwiek?

— Przyślij mi Lizę, a sam zajmij się Musią—powtórzyła niechętnie.—Nie umiem ubierać się sama.

— Dobrze!—rzekł, hamując się.—Ale rozmowa nasza jeszcze nie skończona. Może wieczorem, gdy będziemy sami...

— Wieczorem? O nic z tego!—odparła, a ciemne źrenice zabłyły ogniem.—Nie będę mogła ci służyć. Księżna d'Allano zaprosiła mnie do siebie. Urządzamy piknik, bal na dobroczynność, żywe obrazy... Mam dużo zajęcia. Wszystko trzeba ułożyć, wszystkim się zająć...

Tak była ożywiona, mówiąc o tem, jakgdyby łaknęła zabaw, jakgdyby były dla niej nowością.

— Że też ci się nie sprzykrzy to ustawiczne gonienie za rozrywkami!—rzekł Stanisław zniechęcony.—Chyba już jesteś przesycona niemi.

— Nie każdy urodził się sensatem, mój kochany—rzekła urażona.—Wcale się z tem nie taję, że lubię się bawić...

Stanisław westchnął głęboko. Popatrzył na żonę badawczo i cicho przemówił:—Czy nie krępuje cię, Lili, stosunek przyjazny z księżną d'Allano?

Zarumieniła się lekko.

— Nic a nic—rzekła swobodnie.—Nie pojmuję dla czego miałby mi krępować?

— Ja się na to cokolwiek odmiennie zapatruję—rzekł poważnie.—Niepodobna, aby księżna nie widziała, że mąż jej szaleje za tobą...—Ostatnie wyrazy wymówił bardzo cicho i głos mu drżał.

Lila roześmiała się.

— A kto nie szaleje za mną?—pyta figlarnie.

— Nie żartuj, najdroższa—prosi Stanisław.—Nie wszystko da się w żart obrócić... Dla mnie to kwestya poważna i zabierająca dużo spokoju. Taka namiętność burzliwego Włocha to nie zwyczajny flirt, i rezultat z niej być może, przez ciebie nie przewidziany, a bardzo smutny. Dziwię się księżnie. Wydaje mi się zazdrosną i mściwą, a mimo to toleruje wysoki małżonka i, co więcej, mieni się przyjaciółką swej rywalki. Nawet u nas takie rzeczy częstokroć smutnie się kończą, a co dopiero tutaj, gdzie krew i nerwy ponad wszystkim górują.

— O, już wpadasz w patos, mój kochany—rzekła cierpko Lila.

— Co za przewidywania! Nie wiedziałam, że masz tak bujną fantazyę... I mówią, że kobiety są drobiazgowel... Księżna d'Allano jest dobrze wychowana, damą wielkiego świata, gdzie na takie drobnostki się nie zważa. Zresztą, kto dziś nie flirtuje?... Księża za często bawi się w miłość, aby potrafił brać ją seryo... Bądź o niego spokojnym!

— A o ciebie Lili?—głos był tak przytłumiony, że ledwo dosłyszała.

— O mnie tembardziej, mój Otello—zażartowała—powtarzałeś mi niejednokrotnie, że przedewszystkiem kocham ciebie. Czyż nie tak?

Westchnął głęboko. Wmówiła w niego zawsze co tylko chciała.

— Więc koniecznie mamy być dzisiaj u d'Allanich?—pyta zrezygnowany.

— Nie, kotku! ciebie wycofałam z tej przyjemności. Wiedząc, że nam będziesz tylko przeszkadzał swoją zamyśloną smutną twarzą, powiedziałam księżnie, aby nie liczyła na ciebie. Rad z tego jesteś;—prawda?

— Być może—odparł przygnębiony.—Skoro zdecydowałaś tak bezemnie, niema już o czem mówić. Przyjmij tylko radę od męża, Lili: unikaj księcia i niedowierzaj księżnie; błagam cię o to!

Zniecierpliwienie Lili przeszło wszelkie granice.—Dość już tego mój drogi!—zawołała.—Zamęczysz mnie ciągłymi uwagami i wymówkami. Nie chcę słyszeć o niczem. Czy przywołasz wreszcie Lizę, czy mam pójść po nią sama?

— Idę natychmiast—odparł. Spojrzał na nią, rozżalony głęboko, i wyszedł.

Dzień ten miał być dla niego dniem utrapień. Gdy się uwolnił od dzieci i znalazł wreszcie u siebie, zamiast wypoczynku, któryby rozprężone nerwy uspokoił nieco, zastał ranną pocztę na biurku; trzeba było zabrać się do jej przejrzania.

Na jednej z kopert poznał pismo matki. Wzrok mu się rozjaśnił i list na bok odłożył. Chciał się nim uraczyć, gdy już głowę będzie miał spokojną. Sięgnął po list Kwapiewicza.—„Jaśnie Wielmożny Pani!—pisał stary, grubym, koszlawem nieco pismem.—Interessa idą coraz gorzej i wymagają bezzwłocznego przybycia J. W. Pana. Wymówiono nam summe na Rumszanach, oprócz tego zabiegamy dwie raty i Towarzystwo wystawiło dobra na licytację. Summa Różyńskich wynosi 22.000, jak wiadomo J. W. Panu— a z kąd jej wziąć? Oczekuję dyspozycji J. W. Pana i piszę się pokornym uniżonym sługą.“

Stanisław czytał półgłosem; czoło sfałdowało mu się w głębokie bruzdy, zacisnęły się kurczowo usta.

Zły stan interesów nie był wprawdzie tajemnicą dla niego, ale będąc zdaleka, łudził się—jak to zwykle bywa, i odpędzał niemiłe myśli.

Dziś atoli smutna rzeczywistość stanęła mu przed oczyma, naga, brutalna niemal prawdą.

— Jeżeli tak dalej pójdzie, coż się stanie z przyszłością dzieci? Co począć?—powtarzał z Kwapiewiczem.—Co począć? Osiem lat tułania się po hotelach rozmaitych stolic europejskich, zajmowanie wszędzie stanowiska odpowiedniego wymaganiom młodej małżonki, szalone jej zbytki i niechęć do zaprowadzenia jakiegokolwiek ładu w domu, połknąć mogły milionowy nawet majątek. I połknęły też tyle, że wykupione przez męża Rumszany—i uregulowane, na nowo od lat trzech długami obciążone były. Zagórowo sprzedała Dolewska, a z majątku odziedziczonego po przodkach miał już tylko Stanisław Kamieniecki i dwa folwarki, których Kamieniecka bronila kosztem największych ofiar i oszczędności. Co

przeszło nad głową tej nieszczęśliwej w ciągu lat ostatnich—opisać trudno. Sprawdziły się wszystkie jej przecucia. Stanisław wpadł kilkakrotnie do Kamieniec, by wziąć pieniędzy i pogadać z matką o interesach, ale wszelkie jej prośby i perswazy zbywał milczeniem, chociaż je za najszlachetniejsze uważał, wiedząc, że się rozbija o kamienny opór Lili.

— Jedźmy do kraju, pokazać matce nasze dziewczeczki, które tak poznać pragnie—prosił żonę niejednokrotnie.—Jakiem-że to szczęściem byłoby dla niej!

— Poślij fotografie dzieci—odpowiedziała chłodno.—Niepodobna, abym dla takiej błahostki narażała zdrowie na trudy podróży, lub stały pobyt w takim szkaradnym, jak u nas, klimacie. Nie zapominaj, że każde przyjsie na świat dziecka o mało nie pozbawiało mię życia. Dotąd jeszcze sił nie odzyskałam.

Tym argumentem pobila zawsze męża. Dzieci kochał szalenie: czuł więc głęboką wdzięczność dla żony, że raczyła go rozkoszami ojcostwa obdarzyć.

Dawniej, póki był dalekim jeszcze od ruiny majątkowej, marzył o synu, któregoby spadkobiercą nazwiska i majątku mógł zostawić. Dziś nie pragnął już tego i gdy trzecia z rzędu dziewczeczka, ślicznymi oczkami na świat spojrziała, przytulił ją do piersi z pewną ulgą.

Synowi niewiele miałby już teraz do zostawienia.

Lila przyjsie na świat dzieci przyjmowała zawsze obojętnie.—To tylko wieczny kłopot i kajdany—mawiała często, zbyt często, by słowa jej nie ranily tkliwie kochającego i szlachetnie myślącego ojca.

Stanisław, siedząc teraz w południowej ciszy dnia letniego, przebiegał myślą cały szereg dni minionych, i coraz głębszy smutek na twarzy jego osiadał.

Listy z kraju, oprócz listu Kwapiewicza i kilku innych, Hiobowym głosem wołających do niego, zmusily go do zastanowienia się nad położeniem poważnie i krytycznie. Wynik tych rozmyślań był rozpacziwy.

Zawszad groziła ruina, jeżeli Lila nie pojmie nareszcie konieczności powrotu do kraju. Ale jak to przeprowadzić? Znużony, oparł głowę na rękach. Czuł dziwne osłabienie władz umysłowych. Trafiało się to już niejednokrotnie. Ilekroć chciał zastanowić się nad czemś lub czytał co poważnego, ciężar jakiś tłoczył mu mózg i utrudniał proces myślenia. Miewał przytem bicie serca, omdlenia, i sam czuł, że się tam coś w jego organizmie popsulo.

Czy jednak miał czas myśleć o tem? Na jego głowie, tej chorej, zmęczonej głowie, spoczywało wszystko.

Dzieci, zarząd domem, urządzenie zabaw, które niemordowanie wymyślała Lila; towarzyszenie jej na rozmaitego rodzaju pikniki, bale, koncerty, i ta ciągła włóczega po świecie, z małemi dziećmi, z bagażami i służbą....

Z początku chciał się buntować, ale słodki czar pieczętowany żoną, upajał go, i łaknąc ich a mając wymierzane bardzo subtelnie, zamykał oczy na wszystko i kapitulował.

Dzisiejszy ranek zmęczył go okropnie, znosić dłużej podobny tryb życia wydało mu się niepodobnym. Dzieci chowały się na łasce sług, gospodarstwo w rękach Lizy *et consortes* chłonoło szalone pieniądze; Lila, zawsze ubóstwiana jego Lila, zwracała głowy Włochom na prawo i na lewo—i wreszcie ta szalona namiętność księcia d'Allano, która się smutnie zakończyć mogła.

Tak, musi ztąd wyjechać. Kwapiewicz go wzywa, a on tu samej Lili nie zostawi. Pobyt we Włoszech nie jest zdrowym dla nich obojga a samowola i plotkarstwo służących zatruwa ją młodzieńtku umysły dzieci, jak najzjadliwsza trucizna. W Kamieńcach babka przynajmniej zajmie się niemi i Lila nie będzie miała tyle sposobności do szalonych wybryków.

Uspokojony nieco, sięgnął po list matki. Przycisnął go naprzód do rozpalonego czoła, wyobrażając sobie, że jest to chłodna dłoń matczyna łagodną pieczęcią ból jego kojająca. Tęsknił już bardzo za matką. Zbrzydła mu słoneczna włoska



kraina, a do jej mieszkańców za nie przywiązać się nie mógł.

— Matucha moja — szeptał tkliwie, rozwijając delikatny arkusik welinu — jedyna, która zawsze jednakowo kocha i zawsze pamięta! Ucałował ze czcią drobne literki i do czytania się zabrał.

Pierwsze kartki mówiły o wielkiej tęsknocie piszącej, o gwałtownym pragnieniu sprowadzenia ukochanych zbiegów do kraju, o wnuczkach namiętnie ubóstwianych; dalej atoli, przed oczami Stanisława, pod postacią liter występować zaczęły jakieś groźne widma i — z głośnym jękiem, nie doczytawszy końca, upuścił list na ziemię.

Matka w bardzo oględnych słowach donosiła mu o liście Lili, w którym — w sekrecie przed mężem — prosiła o natychmiastowe przysłanie kilku tysięcy rubli, gdyż — jak twierdziła — nie chce martwić Stasia a ma nagłać długie do zapłacenia.

To-by jeszcze niczem było; ale hr. Zenon, który wrócił niedawno z włóczęgi po świecie przyjechał do Kamieniec i opowiadał p. Kamienieckiej — że spotkał Lilę w Monaco — w towarzystwie jakiejś ukoronowanej włoszki i jej męża, rozkochanego do szaleństwa w pięknej p. Stanisławowej. Assystował jej przy grze i założył za nią znaczną przegraną sumę.

Tego już było za wiele dla skolatanego umysłu Stanisława. Wycieczkę do Monaco zupełnie przed nim ukryto; towarzystwo księcia i zapłacenie przegranej, rumieńcem upokorzenia twarz mu zalało. Nabiegły mu krwią żyły na skroniach: dusił się, nie mogąc złapać oddechu. Co się z nim działo, w ciągu kilku godzin jakie po tem nastąpiły — nie wiedział. Słyszał wprawdzie, że stukano do drzwi zamkniętych, słyszał dziecinne głosiki, wzywające go na obiad, nawet zuścierpliwiony głos Lili brzmiał w uszach, ale ruszyć się nie miał siły.

— Papa gdzieś wyjechał — mówiła Lorcia. — Widziałam kapelusze papy tam na wzgórzu — pokazywała paluszkami ulubione miejsce spaceru ojca, i wszyscy jej uwierzyli.

(Dalszy ciąg nastąpi).

## KOBIETY - POETKI

przez

ANTONIEGO PILECKIEGO

(Odczyty wygłoszone w Sali Ratuszowej w d. 9-ym, 11-ym, 12-ym i 13-ym Marca, na rzecz Osad Rolnych).

(Dalszy ciąg).

W poemacie p. t. „Szczęście“ rycerz, zdobywający zamek „szczęścia nieskończonego“, walczy z potęgami ducha, które zamku tego strzegą, walczy potęgami dobra z potęgami zła. Potęgi te są poza nim, jakby wojsko pod rozkazem dowódcy. Więc chorobę pokonywa wstrzemięźliwością, nędrę — pracą, niewiadomość — nauką, hańbę — zasługą, samolubstwo i niezgodę — miłością i przyjaźnią i tak dalej aż wreszcie ujrzał sobowtóra swego, z którym sam już do walki musi wystąpić. Poemat allegoryczny kończy się sensem moralnym: „ten szczęście najwyższe zdobędzie, kto zwalczy siebie samego.“

Miłość w pieśni Deotymy — to ptak skrzydlaty, ulatający w błękity. Uczucie to, oderwane od żywego serca ludzkiego, staje się igraszką bogiń i wróżek, a ma oblicze pełne pogody greckiej i ma moc rozkazywania światu.

Obywa się ono bez burz namiętnych, nie dotyka rzeczywistości zagadką serce krwawiącą; nie walczy z innymi potęgami ducha i życia ludzkiego, jak w utworach Gabryeli. U Deotymy miłość to cicha harmonia dusz, to zachwyty i uniesienie, a w małżeństwie jest sakramentem. Nie jest ona wytworem psychicznym, ale przychodzi z ze-

wnątrz, często niespodzianie. Bohaterka jej wiersza „Nad potokiem“ ujrzała ukochanego w chwili, gdy ją fale porwać miały, ujrzała po raz pierwszy, a już jej się zdawało, że się zawsze kochali. W pierwszym spojrzeniu utonęli w sobie, świat im zginął z przed oczu, usta się spotkały w pocałunku. Lecz ona mimo to miała w ruchach królewskość i w sercu niewinność! Uczucia kochanków rozplywają się w nieokreślonym zachwycie. Miłość ich ma być pogodnym słońcem, rzucającym jasne promienie na drogę życia ludzkiego. I kończy poetka gorętszym słowem zachwyty:

„O miłości, o jedyne—

„Słońce szczęścia w ludzkim niebie!

„Lepiej z tobą żyć godzinę.

„Niż wieki bez ciebie.“

W innym znowu utworze miłość jest „pieśnią na dwa głosy.“ Każde serce „długo śpiewało w samotnym zakłęciu, aż trafiło lub trafi do swojego wtóra.“ I kończy znowu poetka pieśń swą słowami zachwyty:

„Kto tę muzykę serca zaznał choć przez chwilę,

„Pojmie, czemu wybrani mają śpiewać w niebie?

„Miłości! Czyż przez wieczność wyśpiewają ciebie?

„Tu, tylko na dwa głosy, a już nieba tyle!“

Miłość w pieśni Deotymy rodzi się w przecuciu serce, przeznaczonych dla siebie, jak w „Malwinie“ księżny Wirtemberskiej. Ale życie często rozdziela te serca, życie pragnienia gasi, uspakaja, a wówczas:

„Miłość, prologiem zaczęta na ziemi,

„Może na innych rozegra się światach.“

Uczucie drgające w sercu człowieka rozprasa się w pyłki ziemskie, które dopiero nieskończoność łączy w jedną wielką bryłę, w jedną całość harmonijną. Ukochane dziecię poetów — amor boski unosi się na skrzydłach swych wysoko, tylko uśmiechem zachwyty ozłaca dolę ludzką.

Pojęcie arcyzmu, geniuszu twórczego, przebywa również w pieśni poetki na wyżynach abstrakcyi. Potędze tej nadaje Deotyma cechy nadludzkie, nadprzyrodzone. Geniusz spływa na ludzkość z chmur słonecznych „w świetle purpury,“ „jak orle olbrzymie.“

„I kolos geniuszu, jak bóstwo sam stoi...

„On jeden silniejszy, on bóle ukoi,

„Przyszłość odsłoni widnokrag jej losu.“

Potęga sztuki znajduje swój wyraz allegoryczny w utworze pod tytułem: „Objawienie się muzy.“ Młody zapalenie szuka poezji pod cudnym niebem Grecyi. Tam ukazuje mu się natchniona bogini-Muza i tajemnicze swego pochodzenia objawia. Przed nią było na świecie „bóstw tylko troje: Noe, Chaos i Przeznaczenie,“ a rodzicami jej były: Miłość i Cierpienie. Gdy, po upadku Saturna, Zeus siadł na tronie bogów, dostał w swe dłonie niebios gromy, ale brakło mu jeszcze ognia niebieskiego. Tego ognia strzegła Muza, w sercu jej on płonął. Zaprażył go bóg gromów i chciał sięgnąć do serca Muzy. Naówczas rzekła mu bogini: „Pójdź, Zeusie, i proś o mnie mojego rodzica.“ Ale Zeus, bóg siły, nie chciał spotkać się z Cierpieniem, które było ojcem Muzy. „Lecz nie chciał wpuścić w rozkoszne podwoje swego Olimpu — zadrżał o pioruny swojej!“ Odszedł więc, obiecując zemstę temu, kto by był szczęśliwszym od niego. Tymczasem na ziemi żyło plemię Tytanów:

„Ród lepszy od Olimpu, lecz nie znał sam siebie,

„Pod gromami pokorny i zapracowany,

„Nie czuł, że to on godzinę zapanować w niebie.“

Najdzielniejszy z Tytanów, Prometheus, czuł poniżenie swych braci. Grom — to jest siła, był już w ręku Zeusa, w ręku wroga: „Jeszcze niebieski

ogień został do zdobycia.“ I poszedł Prometheus, cichy i pokorny, ze znakiem smutku na czole, do Muzy, a ona mu z ust swych dała w pocałunku iskrę ognia niebieskiego. Iskrą tą odrodził ziemię:

„Jak lew złotogrzywy,

„Ród Tytanów, zbudzony strząsnął pył ze skroni;

„Zrozumieli, że i oni

„Są nieśmiertelni!“

Lecz wtem w czoło największego z Tytanów uderzył grom Zeusa, a jednocześnie Muza:

„Zbiegła między Tytanidów plemię;

„Poezja przyszła z nieszczęściem na ziemię.“

I odtąd Muza pieśnią płacze i pieśnią ból koi. A poetka głosi, że

„...każda ludzka dusza,

„Co bohatersko idzie przez boleść i trud,

„Jest jedną chwilą w dniach Prometeusza,

„Bo Prometheus — to człowieczy ród.“

Ogień niebiański, który wódz Tytanów sprowadził na ziemię, żyje, zdaniem poetki, nie tylko w sztuce, lecz także w wierze, w czynie, w mądrości i w ofierze. Nad wszystkimi temi potęgami ducha muza swe skrzydła opiekuńcze rozpościera. Cała ich moc jednak żyje tylko w cierpieniu.

Młodemu poecie za to, że „już miał swoją prometejską skalę,“ objawia się Muza, ale, gdy zaprażył od niej miłości, rozwiała się we mgle, mówiąc:

„Wstrzymaj się! Miłość muzy groźna, bo skrzy-

[dłata]

„Im duch namiętniej ku niej się przybliży,

„Tem ona dalej odlata.“

Odlata zaś dlatego, aby pociągnąć za sobą ducha poety wyżej i niżej... A spotka się on z nią „aż na niebios szczęcie.“ Więc sztuka, zdaniem Deotymy, to kraina ideałów, do której całe życie drogą cierpienia i miłości iść trzeba, coraz wyżej i wyżej — *Excelsior!* Jest to może najpiękniejsza allegorya poetyczna, w wyobraźni śpiewaczki naszej wysnuta.

Prawdą moralną i pięknem w życiu człowieka i ludzkości, jest, podług Deotymy, tylko dogmat. On wszystko rozwiązuje, wszystko wyjaśnia. Czwartą i ostatnią sferą w dziedzinie piękna, po pięknie zmysłowym, po pięknie kształtów, po pięknie uczucia, nakazującym czyny, po pięknie pojęcia wreszcie jest połączenie tych wszystkich piękności — w piękno ducha, a piękno to ma „zmysły w żrenicach proroka,“ „uczucie w miłości serafina,“ „wiedzę w mądrości cherubina,“ „siłę w pokorze głębokiej,“ a widzi tę siłę duch poetki, jako postać w habitcie i woła do niej:

„Tereso!... święta!... o wzorze duchowy!“

Gdy nad światem duchowym Gabryeli unosi się płomień praw moralnych, z serca wysnutych, w walce ducha zdobytych, Deotyma znajduje te prawa gotowemi w wierzeniach, w uznanych zasadach życia, w dogmacie, i dla tego świat jej ideałów nigdy się nie zmienia, jest sam w sobie zamknięty, zawsze jednaki. Wiara, nadzieja i miłość w pojęciu religijnem: oto trzy, według Deotymy, niezmiennie, nieulegające żadnej ewolucyi, podstawy życia moralnego. I Gabryela wierzyła gorąco, ale inaczej. Każde wierzenie musiała w krwi serca swego przetrwać i tam mu dać uświęcenie. Gdy umysł tej poetki wysnuwał zasady życia z dociekań psychologicznych i etyka jej była praktyką rzeczywistości. Deotyma znajduje zasady etyczne w teorii, w pojęciach o życiu.

I oto stoimy blisko zrozumienia natury duchowej i natury twórczości tej ostatniej poetki. W płodach jej arcyzmu odbija się, nie świat sam, ale pojęcia, jakie sobie wytworzyła o świecie. Przyroda, bezpośredniej, niż życie ludzkie, znaj-



duje w nich odzwierciedlenie. Fantazja poetki rzuca na tło jej tysiące barw, odbijających brylantowymi blaskami i tworzących czarodziejską krainę piękna. Grają w nich różnobarwne światła, jak w szybach świątyni gotyckich. Jednak śmiało można powiedzieć, że i w odtworzeniu przyrody reflexya u Deotymy stanowi żywioł przeważający. Słowik w jej pieśni pyta się róży, czemu jest różową, a ona mu na to: „Bo gołąb mi jest ojcem, a matką mi burza.“ Widok zimny budzi w umyśle poetki zadumę reflexyjną nad rozmaitemi symbolami koloru białego. I wiele, bardzo wiele przykładów na udowodnienie powyższego twierdzenia moglibyśmy tu przytoczyć.

Wskutek tego charakteru zasadniczego twórczości, poezja Deotymy, mając za żywioły zimną reflexję, logikę metafizyczną i allegoryę, więcej zachwyca i uczy, niż porusza, a gdy porusza, to więcej umysł i wyobraźnię, niż serce.

Gdy pieśń Gabryeli rzeźbi nam cudne posągi, pełne duchowego, wulkanicznego i zarazem ludzkiego wyrazu, muza Deotymy wznosi się wysoko ku niebiosom ideałów oderwanych, jak cudowny gmach, mistrzowską ręką budowniczego stworzony, o regularnych, klasycznych, pięknych, choć zimnych, zarysach. Wyobraźnia poetki widzi wszystko w kształtach olbrzymich, architektonicznych. Serce Gabryeli rwało się i płakało, wyobraźnia Deotymy lśniła pięknymi blaskami świata złudzeń idealnych. Można mieć takie lub inne pojęcie o zadaniu poezji, taki lub inny jej rodzaj może się nam bardziej podobać, ale nie można twierdzić, że dla poezji Deotymy niema miejsca na Parnasie. Dodać też trzeba, że poetka ta ma jedną, niezmiernie ważną, zasługę: stworzyła niezwykle doskonałą formę wiersza, jakim dotąd chyba nikt u nas nie pisał. Ile razy odczytuję strofy Deotymy, zawsze staje mi przed oczyma koronkowa rzeźba gotyków starożytnych i nie chce mi się wierzyć, aby to były płody natchnionej improwizacji, a nie długiej, mozolnej roboty. Czasem znowu zdaje się, że struny jej liry są ze stali, tak twarde, metaliczne, a silne dźwięki wydają.

Rzucając ostatnie rysy do wizerunku poetki, zaznaczam, że w klasyczności budowy, w doskonałości formy, w tęczy blaskach fantazji natchnionej, w żywości myśli i bystrości asocjacji, a także w głębokiej reflexji, erudycji, zbagacanej, tkwi silna oryginalność Deotymy. Jest to postać w dziejach poezji naszej tak oryginalna w charakterze twórczości, że stanowi zjawisko, jakiego dotychczas nie widzieliśmy i jakie chyba nie prędzo znowu w dziedzinie piśmiennictwa się powtórzy.

(Dalszy ciąg nastąpi).

## Z AMERYKI.

Europa wysyła za Atlantyk fale ludności nie tylko najbardziej przedsiębiorczej, więc w koniecznym następnie rzeczy są to ludzie zimni sercem, surowego, ostrego charakteru, który odziedzicza pokolenie za pokoleniem i silną musi być ręka trzymająca tu berło władzy — straż bezpieczeństwa publicznego i interesów ogółu. Zaburzenia w Chicago są wagi niemałej, lecz mimo tego że wielki mistrz „rycerzy pracy“ nakazał ogólne bezrobocie, które objęło milion ludzi, proklamacja prezydenta Clevelanda wywarła przy silnych i energicznie przeprowadzonych środkach repressji, skutek należyty, i położenie polepsza się, a kommissya dla wszechstronnego zbadania przyczyn i następstw tego niebezpiecznego wzburzenia ma rzecz wyświecić i wyśledzić wkrótce działające tu czynniki. W Nowym Yorku, w Waszyngtonie, odbywają się podobne badania i w ogóle stan wewnętrzny tej części świata, uważanej długo za raj swobody i obfitości wszelkiej, nie przedstawia się bynajmniej w kolorach jasnych.

W Kalifornii, o której świat mówił długo jak o krainie skarbów nieprzebranych, roją się setki, tysiące nieszczęśliwych, którzy z nędzy stają się rabusiami, i bogatsi mieszkańcy, obawiając się skutków takiego stanu, którzy z natury rzeczy pogarszać się musi z dniem każdym, zrobili układ z przedsiębiorcami pewnego gatunku, iż płacić im będą po dziesięć dolarów od każdego wywiezionego emigranta, których też tysiące wyprawiono partjami do Waszyngtonu, gdzie wyrzuceni na bruk miejski nie znaleźli sobie nic prócz nieba nad głową i ziemi placów publicznych pod nogami. W pierwszych dniach zeszłego miesiąca nieszczęśliwa taka zgraja, licząca blisko półtora tysiąca osób, opanowawszy dzikim gwałtem na kolei Donwer Rio Grande lokomotywę i dziesięć wagonów przewożących węgle, puściła się całą siłą pary na wschód. Stawiano im wszelkie możliwe przeszkody; telegrafem uwiadomiona o fackie służba kolejowa czyniła wszystko co mogła, aby ich zatrzymać, ale oni siłą rozpacy zapanowali nad wszystkimi przeszkodami i przelecieli jak huragan 342 kilometrów drogi. Dopiero we cztery dni po fackie spełnionym władze kolejowe zdołały przy pomocy wojska odebrać zrabowaną lokomotywę i wagony; było to w nocy, nieszczęsna tłuszcza puściła się pieszo na wschód i przez dni kilka koczowała w okolicy miasta Les Moines, aż mieszkańcy okoliczni tak z litości, jak z chęci pozbycia się takich gości, dostarczyli im drzewa na wyrobienie sobie łodzi, dopomagając w tem o ile można było. Godna litości zgraja sfabrykowała sobie 150 statków takich i rozwinięszy flagę amerykańską puściła się z biegiem rzeki Moines ku Mississipi.

Co się stanie z biedakami, wie Bóg tylko. Dawna tradycja, że Ameryka jest krainą obfitości wszelkiego rodzaju, już się przeżyła i dziś nie jest wcale podobnem do tego wczoraj, które minęło bezpowrotnie. Nieprzemierzone przestrzenie ziemi leżały odlegiem i było to bezsporne pole pracy chlebobdajnej dla milionów ludzi. Większość tych, którzy chcieli pracować, była znaczną a praca opłacała się dobrze, warstwy średnie tak rolników jak mieszczan były zamożne, lecz w miarę zaprowadzania kolei, w miarę jak odkryte kopalnie drogiej kruszców wytworzyły olbrzymie bogactwa, nastąpiła jakoby epoka inna. Tutaj zabrakło tego i różnica położenia zarysowała się ostrzej przed oczyma tych, którzy zostali na dole. W Nowym Yorku jeden z deputowanych postawił wniosek, aby bogacz posiadający więcej niżeli milion dolarów, nie mógł już rozrządzać dowolnie na korzyść rodziny tem mieniem swoim — aby to, co okazało by się przewyżką, stawało się własnością państwa i obracaniem było na szkoły, na przytulki dla biednych — na cele dobra ogólnego. Dzieci milionerów, jakkolwiek było by ich liczba, mogłyby otrzymywać wtedy mienie takie tylko, któreby pozwoili im utrzymać się na stopie życia wygodnej, dało środki do pracy w warunkach przedsiębiorstw szerszych.

Wniosek nie utrzymał się, ale jest to już rzeczą niemałego znaczenia, że postawionym został — że debatowano nad nim w izbie prawodawczej, a w następstwie departament statystyczny ogłosił sprawozdanie mienia posiadanego przez mieszkańców Stanów Zjednoczonych i wykazał wzrost jego. W 1890 r., wartość ruchomych i nieruchomych majątków przedstawiała razem sumę 65.037.091.000 dol.; koleje i kopalnie, oraz wartość ruchomości wynosi 25.492.546.864 dolarów. Nietylko ziemia nie jest jeszcze wyjałowiona tak, jak w Europie przez wielowiekową daninę, składaną człowiekowi, ale człowiek ten, który ją zaludnia, jest spadkobiercą moralnym przymiotów ludzi śmiałych, którzy w walce z losem puszczały się po za Ocean, szukając sobie poprawienia doli. Jaką też jest tutaj rzutkość ludzka poświadczy fakt drobny. Właśnie w tym czasie zmarł w Nowym Yorku księgarz wydawca, Norman Mauro, który tak prowadził interessa swoje: czytając w dziennikach paryzkich o „Nanie“ Zoli, napisał do wydawcy paryzkiego, aby z chwilą całkowitego wyjścia powieści zatelegrafowano mu ją w dosłownej całości i w trzy dni od owej chwili mogła już ją czytać publiczność amerykańska w przekładzie angielskim. Ze „Nana“ nie była godną takiego nakładu pracy i grosza, to rzecz inna i sąd

publiczności miejscowej powinien to być orzec, ale niemniej dowód to energii, która można twierdzić, wykazuje się tutaj we wszystkich kierunkach.

Obchodzono tu w tych dniach pięćdziesięciolecie telegrafu elektrycznego. Gdy w 1844 r., pierwszy aparat urządzony został przez badacza nauk przyrodniczych, Michała Morse, ludzie walczyli w sobie z myślą: czy to cud jest, czy czarodziejstwo? Rząd dał 150.000 franków na pierwsze próby przesyłania siłą elektryczną depesz za pośrednictwem telegrafów i pierwsza elektryczna linia telegraficzna została zaprowadzona od Waszyngtonu do Baltimore. Początkowo osiągała ona do Annapolis, stacyi odległej o wiorst dwadzieścia od Waszyngtonu, gdzie oczekiwano właśnie z wielką niecierpliwością wieści, jakim będzie skutek wyborów na prezydenta, odbywających się w Baltimore, a która miała przybyć pociągiem kolei, wychodzącej z tego miasta, lecz Morse znajdował się właśnie w Annapolis i wiedząc jak gorączkowo zajmowano się ważną nowiną, przesłał telegrafem wiadomość, której przecież nikt uwierzyć nie chciał. Mówiono sobie ruszając ramionami, że mogłoby to stać się chyba cudem, aż w końcu uwierzyć musiano w cud nauki — w cud myśli ludzkiej.

Morse miał według kraczącego podania podnieść myśl cudzą. Wracając w 1833 r., do Ameryki z podróży odbywanej po Europie, podслуchał jakoby rozmowę dwóch podróżnych, prowadzoną na pokładzie statku o możliwych zastosowaniach elektryczności, z której korzystając pewniał myśl urządzenia telegrafu elektrycznego, co przecież nic tu nie ujmuje zasłudze jego. Tysiące myśli przeróżnych krąży wśród ludzkości, ale ten tylko zasługę tu bierze, kto je w czyn wiele. Już w 1835 r., wystawił Morse w Nowym Yorku model swego telegrafu, a choć w tym samym czasie Watson Anglik i Sztengel Niemiec wystąpili z wynalazkami w tym zakresie, jemu przyznano obok pierwszeństwa myśli, najpraktyczniejsze jej użytkowanie i wkrótce, bo w lat sześć potem, ludzie mogli się tam znieść ze sobą przez przestrzenie. Pierwsza linia telegraficzna, zaprowadzona między Baltimore i Waszyngtonem miała już długość znaczną a najdłuższy drut telefoniczny, założono właśnie w Nowym Yorku. Składa się ten drut z dwudziestu drutów czystej miedzi, stanowiących przewodniki słuchu, a każdy z nich skręconym jest z trzech drutów także miedzianych, mających 0.020 cali grubości.

Dzisiejsza gospodarka człowieka na ziemi jest niemal cudowną. Przenoszenie domów i to kilkupiętrowych kamienic, jest obecnie w Ameryce rzeczą o tyle powszednią, że nie dziwi to już nikogo, i w tym właśnie czasie dokonano w Nowym Yorku przenosin kolejowego dworca, ogromnego budynku, gdyż zbiegają się tu trzy linie kolejowe zwożące bezustanku tysiące ludzi. Że przecież zapotrzebowano jeszcze czwartej, więc dla zrobienia miejsca szynom, gmach ogromny, którego fronton ma 24 metrów wysokości i wieżę wspaniałą, długi 157 metrów a szeroki 11, musiał się ruszyć z posad swoich, co uskutecznił przez podłożenie pod fundamenta belek grubości trzystu pięćdziesięciu milimetrów. Gmach podważony w ten sposób, przysrubowano do belek owych i przesunięto go po deskach, mydłem posmarowanych i chciejcie wierzyć memu słowo, że ostatniej tej operacji dokonało dwudziestu ludzi w przeciągu tygodnia.

Trzeba przyznać Amerykanom, że dzielni są i pomysłowi w kierunkach wszelakich. Na przestrzeniach, jakie pod panowanie swoje wzięli, ułatwienie środków komunikacyjnych ma wagę wielką i poczta gołębia oddaje im niemałe usługi; co przecież potrzebowało też starannego zajęcia — zaprzężenia w służbę człowieka regularną istot, z natury swej niepodległych, bo skrzydlatych a próby, które tu odbywano nie zbyt dawno z gołębiami pocztowymi, przedstawiają się ciekawie. Jeden ze statków państwowych zabrał za sobą na ocean dwadzieścia siedem tych ptaków, ułożonych już do służby swojej na odległości rozmaite, od trzydziestu do dwustu sześćdziesięciu pięciu wiorst według naszego rachunku przestrzeni. Na dwadzieścia mil od miejsca, z którego wyruszone, Annapolis, potrzeba było użyć



poczty gołębiej, by donieść o śmierci jednego z majtków załogi, żądając przysłania łodzi po zwłoki, aby nie trzeba było rzucać ich morze na pożarcie przez rekinów. Dwa gołębie, wypuszczone o pół do dziesiątej, tak wiernie i na czas odniosły przesyłkę, że o godzinie 1-ej z południa żądany parostatek był już na miejscu swego przeznaczenia. Raz drugi wypuszczone o godzinie dziesiątej posły skrzydlate, gdy statek był już na pełnym morzu, doniosły przez listy, które niosły, że kapitan statku zmienił plan podróży; z dwudziestu sześciu tylko dwa nie dopełniły zlecenia i w skutku tych prób, których było jeszcze wiele, przeprowadza się tu urządzenie poczty gołębiej i na stałym lądzie.

Modrzejowska uniknęła ciężkiego, wstrząsającego przejścia, a może nawet śmierci wypadkiem szczęśliwym. Dążąc do San Francisco miała się udać w tę podróż na statku parowym, Los Angeles, który rozbił się na Oceanie Spokojnym, a choć podróżni ratowali się na łodziach, utonęło przecież dziesięć osób i Modrzejowska, opóźniając się nie o cały kwadrans z przybyciem na statek, ocalała, tracąc przecież wszystko, co wiozła ze sobą — kosztowną toaletę i wiele wartościowych przedmiotów, wysłanych już poprzednio na statek. Obecnie przebywa na wsi w willi własnej, urządzonej z gustem i komfortem wielkim, którym otacza się zawsze i wszędzie. Ma własny wagon, który według krążącej tu wersji kosztował blisko trzydzieści tysięcy dolarów, a w którym mieści się sypialnia, salon, pokój jadalny, jest obok tego kuchnia i pokój dla służby; wraca przecież do Europy, bo widać prawdą jest przysłowie, że choć wszędzie może nam być dobrze, przecież najlepiej w domu — wśród ludzi swoich.

W ostatnich latach zaznaczył się bardzo silny ruch między murzynami, zamieszkującymi Florydę, Karolinę, Georgię — pragnienie powrotu do ziemi rodzinnej a raczej do ziemi ojców swoich, bo niejedno już pokolenie ich zrodziło się już w Ameryce, ożwało im się w piersiach, a znaleźli sobie przewodnika w jednym z ziomków swoich, podniesionym już do godności cywilizowanego człowieka. Jest to kapłan: pastor protestancki, Gaston, który widząc nędzę i poniżenie braci swoich, powziął śmiałą myśl przesiedlenia ich — powrotu do Afryki, gdzieby osiedli w Liberyi, co poparło bardzo silnie towarzystwo związane w Waszyngtonie, które nie ograniczając się na dobrych chęciach, działa energicznie. Nabyło też przestrzeń ziemi rozległą na pobrażu Nowej Gwinei i wzniosło tam miasto Monroe, które tworzyłoby punkt główny ruchu w kierunku kolonizacyjnym. Liberya stała się już między rokiem 1840 a 1850 państwem niezależnym, rzeczpospolitą, która na wzór Stanów Zjednoczonych ma rządzącego nią prezydenta i izbę prawodawczą; a że klimat jest zdrowy, że rodzi się tam obficie kawa, kakao, trzcina cukrowa i drzewa oliwne, że handel kością słoniową może przynosić zyski znaczne, — zamożność wzrasta.

....

Jak dalece bowiem nie omylił się w przypuszczeniach swoich Bukacki, za dowód niech posłużą własne Sienkiewicza słowa:

„Sądził (Połaniecki), że dając jej opiekę, chleb, dobre obchodzenie się i miążdząc od czasu do czasu jej usta pocałunkami, spełnia wszelkie możliwe obowiązki, jakie względem niej zaciągnął. Tymczasem stosunki między nimi zaznały się coraz wyraźniej w ten sposób, że on tylko raczył kochać i raczył przyjmować miłość.... Gdyby jej miłość nie była tak bezwzględna, gdyby przychodziła mu z większą trudnością, gdyby w przeświadczeniu, że jest skarbem, oddawała się jako skarb, gdyby w przeświadczeniu, że jest bóstwem, wy magała schyłonej głowy i czci — Połaniecki byłby ją przyjmował ze schyloną głową i cześć. Takie jest ogólne serce ludzkie i tylko najbardziej wyborowe natury, utkane z promieni, umieją wzniesić się nad ten poziom. Marynia oddawała Połanieckiemu swoją miłość jako jego prawo — więc i przyjmował ją jako swoje prawo. Jego miłość uważała za szczęście, więc też on dawał ją jako szczęście — sam zaś czuł się bożkiem w ołtarzu“.

Miłość taka nie wystarczała Maryni; zaślepiona w mężu, uważała siebie za szczęśliwą, nie dawała nawet wątpliwości o tem przystępu do siebie; były jednak chwile, były chwile, że aczkolwiek Marynia nie skarżyła się nawet sama przed sobą na męża, że aczkolwiek nie było dotąd między nimi najmniejszego nawet nieporozumienia, „musiała jednak przyznać, że prawdziwe, bardzo wielkie szczęście, a zwłaszcza bardzo wielką miłość, o jakiej marzyła, gdy Połaniecki był jej narzeczonym, wyobrażała sobie inaczej“....

Tak, jak było, nie było źle, ale to nie było owo wysokie szczęście, które „taki człowiek“ powinien być czuć, stworzyć, dać... Ona czuła, że gdy oddaje mu całą duszę, on zwraca jej ze swojej tylko tę czastkę, którą z góry przeznaczył na użytek domowy.

Połaniecki — jak sam się wyrażał — wziął ją i miał, i gdy wzajemne ich uczucie stało się zarazem prostym wzajemnym obowiązkiem, sądził, iż nie potrzebuje inaczej się o nie troszczyć, ani inaczej o nie zabiegać, niż o wszelkie inne obowiązki codziennego życia....

Jednym słowem: podczas gdy pan Stanisław oplotwał w spokoju i zadowoleniu tych, o których się mówi: *beati possidentes*, na panią Maryną raz po raz przelotem „padał cień smutku wraz z poczuciem, że ów cień może się z czasem stać tłem życia“.

Ale napozór było to szczęśliwe, dobrane, zadowolone z życia i z siebie małżeństwo.

Takiem wydało się ono np. panu Osnowskiemu, co, też na zagranicznym wojażu z młodą żoną, spotkał się w Rzymie z Połanieckimi. Pp. Osnowscey kontrastowy stanowili do Połanieckich odpowiednik. On — zakochany w żonie wyżej głowy, patrzący jej oczyma a słuchający jej spojrzeń; ona — pusta a zalotna bańka mydlana. „Była to kobieta lat dwudziestu sześciu lub ośmiu, bardzo wysoka, o świeżej lecz smagłej cerze, o wiśniowych ustach, rozwianej grzywce, i nieco skośnych fiołkowych oczach, które nadawały jej twarzy podobieństwo do twarzy chińskich a zarazem pewien wyraz złośliwości i sprytu. Miała dziwny zwyczaj trzymania się, polegający na zasuwaniu w tył ramion, a wysuwaniu naprzód figury, wskutek czego Bukacki mówił o niej, że nosi biust *en offrande*“. Do tego — zimne serce a ognista głowa, kokieterya, wodzenie za nos delikatnego i najpoczciwszego męża, gadatliwość, trzpiotowatość: istny motyl o mieniących się skrzydłach.

Jak zwykle za granicą, zaczynają Połanieccy i Osnowscey tworzyć nierozłączne turystowskie kółeczko, do którego należy, oprócz Bukackiego, młody, dzielny malarz Świrski. Kolosseum... przy świetle księżycy, Albano, Tivoli... ileż to sposobności dla młodej zalotnej kobiety do wypróbowania swoich czarów i uroków, nawet na takim, jak Połaniecki, przechodniu!

Z początku sprawa idzie dość gładko, ale Połaniecki, zagalopowawszy się odrobinę, wraca ostatecznie na tory legalne i — przelotny *flirt* rzymski z p. Osnowską urywa się jak nożem

uciał. Sam nawet Połaniecki traci do niej gust, przejrawszy podstępna grę wesolej a nieprzebie-rajającej w środkach niewiasty.

Tedy p. Osnowska wkracza w akcję powieści o tyle, że za powrotem wszystkich do Warszawy w jej-to właśnie salonie spotykamy znów Połanieckich i — parę nowych jeszcze postaci, którym w dziejach „Rodziny Połanieckich“ sądzono odegrać tę lub ową rolę.

Mieszkają bowiem razem w Warszawie: państwo Osnowscey, ciotka pani Osnowskiej, pani Browiczowa, i daleka krewna pani Osnowskiej, panna Lineta Castelli.

Dziwna to dama ta pani Browiczowa. Wyprawada męża swego od książąt Ostrogskich, to jest od ostatnich Rurykowiczów, podczas gdy w istocie rzeczy ojciec s. p. pana Browicza był ekonomem u Rdułtowskich i na nich dorobił się fortuny; niestworzone rzeczy opowiada o niebywałych swoich w świecie najszerszym przygodach i stosunkach, i matkuje owej pannie Linecie, pozującej i uznawanej przez najbliższe otoczenie za najświeższej daty cud świata.

Dziwny i salon tych pań i tryb ich życia. Czytają romanse, pozują na Korynny, Vittorie Colony, Sapphony, urządzają „floreńskie noce“ malują olejno i akwarellą, ulatują nieusannie w „wyższe sfery ideału“: w gruncie zaś rzeczy zajęte są odwierzaniem w życiu przeczytanych lub wysnionych romansów.

A w domu handlowym Połanieckiego i Bigiela pracuje na skromnej posadzie niejaki pan Ignacy Zawilowski, młodzieniec o tyle niepospolity, że obdarzony niezwykłym poetyckim darem. Pisze wiersze, nawet piękne wiersze, i drukuje je w czasopiśmie. Dzikus trochę, nieśmiały i z „towarzystwem“ nieobyty, ale entuzjasta szery, szczerzy artysta i chłopiec zacny a serdeczny co się zowie. Niedawno dostał posadę w domu handlowym a już jest na przyjaznej stopie i z rodziną Bigielów i z rodziną Połanieckich. Prostota i serdeczność pani Maryi odrazu go pociągnęły, a i ona szczerą dla niego uczuła sympatyą. Zresztą — cóż naturalniejszego, że bezpretensjonalny „pan pryncypał“, jakim jest Połaniecki, do towarzystwa swego dopuszcza i zaprasza takiego i zacnego i miłego i inteligentnego urzędnika, jakim jest Zawilowski?

Ale na poetę silniejszą wciąż i silniejszą „impressyą“ poczyna wywierać istotnie godna uwielbienia pani Połaniecka. Zaczyna w nim grać fantazyja artystyczna, poddaje się urokowi, i oto:

„Poznawszy panią Połaniecką przyglądał do niej z prawdziwym egoizmem sybaryty, któremu takie uczucie jest miłe i który o niczem więcej nie myśli; następnie jego fantazyja wyniosła ją na poetyckie wyżyny i, spotęgowawszy stokrotnie jej urok, uczyniła z niej nadziemską niemal istotę; a wreszcie wrodzona tkliwość, dla której osamotnienie i brak serca blizkiego były rzeczywistym bólem, wzruszyła się tak jej dobrocią, z jaką został przygarnięty, że z tego wszystkiego zrodziło się coś, mającego wszelkie pozory miłości“.

Czy pani Połaniecka spostrzegła to „coś“? Oczywiście, że spostrzedz musiała, bo od czegożby była kobieta? A jak się zachowuje wobec tego „coś“? Traf nadarzył jej na to najstosowniejszą odpowiedź.

Zaciekawiona Zawilowskim, pani Osnowska i panna Castelli zapragnęły poznać odludka-poetę. Oczywiście, pięknie-by mógł okraszać ich salon i niem mało dodać efektu ich „floreńskim nocom“. A że Zawilowski w najbliższych zostawał stosunkach z domem Połanieckich, przeto z prośbą do Maryni: „A pokaż-że nam tego poetę, a ułatw-że nam poznanie się z nim!“ Pani Maryja zapoznaje Zawilowskiego z temi paniami, a panie te nie pilniejszego nie mają do roboty nad ukucie romantycznego planiku: zbliżył najserdeczniej Zawilowskiego z Linetą. No, bo jakże! dwie „wyższe“ dusze i inteligentny Niech się poznają, niech się porozumieją, a jeśli — co daj Boże! — zniechęć ma te pobratane dusze... ślubny kobierzec, ha, toby i o tem pomówić i pomyśleć warto.

Projektu tego chwytła się skwapliwie pani Połaniecka: Lineta piękna, bardzo piękna; być może, iż w jej sennych oczach kryje się istotnie ja-

## Co słyhać w „Rodzinie Połanieckich.“

### II.

(Dokończenie).

Powoli „większa miłość“ — Maryni poddaje się biernie i niewolniczo „mniejszej miłości“ — Połanieckiego; podczas gdy na dolę jego przypadać zaczynają wszystkie plusy małżeńskiej szczęśliwości, jej dostają się zaledwie plusów tych okrucy. I to jeszcze szczęście, że kocha — ona sama. Podobno: być kochaną to szczęście, ale dopiero szczęście szczęść to — kochać samej. Jeżeli tak jest, to pani Połaniecka posiadała to szczęście szczęść, ale i tylko to, a więcej nic.



kaś głąb' duszy niepowszednia; Zawilowski zajmie się nią; a i ludzie widząc ją, popierającą ewentualne zabiegi Zawilowskiego, nie zwrócą uwagi na przelotną, zbytnią jego sympatią dla niej. I pani Stanisławowa chwytła w lot pomysły dla niej zbieg okoliczności.

A Zawilowski? Zawilowski też nie w ciemności. Skoro przejrzał manewr, zaczyna rozmawiać tak: „Dobrze, wejść w ich grę; będę asystował pannie Castelli, bo nawet zbytniej przykrości to mnie nie sprawi, ale zwierzać się z rzekomych moich dla niej uczuć będę przed panią... Połaniecką. W ten sposób nie dam rozluźnić się mojemu z nią *quasi* zażyłemu stosunkowi“.

I wistocie, Zawilowski zaczyna częstym być gościem w salonie p. Browiczowej, Marynia uspokaja się i płynie dalej spokojnie żywot tych kilku powieściowych osób. Tylko wciąż powoli i niezauważalnie coraz ostrzej zarysowuje się raz wytkniętymi wytycznymi liniami stosunek młodego małżeństwa. Coraz wyraźniej zaczyna Połaniecki traktować żonę „po gospodarsku“ i „powszednio“, weale nie—odświeżenie. Coś w nim ulega zmianie. Pani Marynia, w przeczystości i bezgranicznej dobroci swej duszy, nie myśli dopatrywać plam na słońcu, co zowie się „jej Stachem“, ale pewne zobojętnienie dla niej męża przypisuje — sobie samej. To ona jeszcze zamała go kocha i za mało „dobrą“ żoną jest dla niego. Postanawia tedy podwoić wysiłki, aby przywiązać go do siebie i wywołać w nim serdeczność, o jakiej marzy.

Tymczasem z innej strony pojawia się od czasu do czasu na kartach powieści—Maszko. Nie tylko ożenił się po myśli, ale i oto materialnie znów staje na nogi i nawet w świetną przyszłość patrzy.

Cóż się stało? Stało się to, że umarła znana nam z „Bez dogmatu“ ciotka Płoszowskiego, owa zacna, energiczna panna Płoszowska właścicielka milionowej z okładem fortuny, i — zapisała całe swoje mienie na cele dobroczynne. Zapisała, ale — znalazły się w testamencie pewne nieformalności i nieformalności te — dzięki staraniom Maszki—obudziły w successorach milionerki grubie nadzieje.

Maszko postarał się zrećnie, aby jemu, jako adwokatowi, successorowie powierzyli prowadzenie „tego interesu“ to jest, mówiąc jaśniej: powierzyli obalenie testamentu s. p. Płoszowskiej. Honorarium odpowiednie, co znaczy: przepyszne; sprawa możliwa do wygrania. Czegoż chcieć więcej? Maszko pływa w tęczach i świetnych na przyszłość planach, a wchodzi znów w akcyę powieści dla tej prostej przyczyny, że jednym z głównych spadkobierców Płoszowskiej jest, nie kto inny, jeno p. Pławicki, ojciec Maryni Połanieckiej.

Nie do smaku p. Połanieckiej ten proces z dobroczynnymi instytucjami, ale ojciec sprawą całą kieruje a mąż... mąż będzie przyglądał się obojętnie, co z tego wszystkiego wyniknie?

I oto, podczas gdy się to wszystko dzieje, pewnego wieczora—po herbacie—siedziała p. Połaniecka, łamiąc, jak zwykle, głowę nad dziennymi rachunkami, gdy nagle złożyła ołówek. Po chwili przybladła—ale zarazem twarz jej rozjaśniła—i trochę zmienionym głosem rzekła:

— Stachu...

Jego zdziwił trochę jej głos, więc zbliżył się i spytał.

— Co tobie jest? Trochęś blada.

— Chodź bliżej, mam ci coś powiedzieć...

I objąwszy rękoma jego głowę, poczęła mu coś

szeptać do ucha—a on słuchał, następnie zaś, pocałowawszy ją w czoło, rzekł:

— Tylko się nie wzruszaj, bo sobie możesz zaszkodzić...

Ale i w jego słowach czuć było pewne wzruszenie. Przez czas jakiś chodził po pokoju — przypatrując się żonie — w końcu pocałował ją znów w czoło.

— Ludzie zwykle sobie życzą pierw szego syna—rzekł — ale ty mi pamiętaj, żeby była córka. Damy jej na imię Litka“.

C.

## Z bieżącej chwili.

— Donoszą z Petersburga, że sfery przemysłowe zajmują się obecnie myślą zawiązania wielkiego sendykatu przedstawicieli przemysłu żelaznego i węglowego. Do udziału w sendykacie zaproszono wszystkie przedsiębiorstwa metalurgiczne. Siedzibą związku będzie Petersburg.

— Według dzienników petersburskich postanowiono zmienić dotychczasowy system zbierania danych o stanie urodzajów. Zaprojektowanym jest ustanowienie w powiatach statystyka powiatowego, którego obowiązkiem będzie dostarczać na liczbach opartego materiału co do stanu zasiewów i zbiorów; dane te mogą być zbierane przez samego statystyka, jak i przez prywatnych korespondentów według danego schematu. Zebrane wiadomości mają być odsyłane do ministerium spraw wewnętrznych trzy razy w ciągu roku, a to w dniach: 15-go Czerwca, 25-go Sierpnia i 20-go Września st. st.

— W celu opracowania ustawy o powinnościach ziemskich zwołanym będzie w Październiku do Petersburga zjazd przedstawicieli instytucji ziemskich.

— Miastu naszemu przybyły dwie nowe kassy oszczędności: jedna przy ulicy Nowiniarskiej N-r 6, druga przy ulicy Muranowskiej N-r 40.

— Przeniesienie księgozbioru biblioteki uniwersyteckiej z dawnego do nowego gmachu już zostało ukończonem. Dla ułatwienia rzeczy wzniesiona została galeria łącząca gmach dawny z nową biblioteką i otwarcie czytelnicy publicznej nastąpi wkrótce. Gmach dawny przeznaczony został na audytorya uniwersyteckie po odpowiedniej przeróbce wewnętrznej; plany już się przygotowują, przeciw roboty rozpoczną się dopiero w 1896 r.

— P. Ludwik Szwece podniósł szlachetnie myśl zabezpieczenia na starość losu klas pracujących, proponując w tym celu składkę przymusową, składaną przez pracodawców na rzecz wszelkiego rodzaju robotnika, wliczając tu i służące. Składki te przedstawiają parę lub kilka groszy dziennie, w którym to celu projektodawca proponuje wydawanie pracownikom książeczek, gdzieby pracodawcy wklejali specjalnie na ten cel utworzone marki, z których zakupu powstałby kapitał, mogący zwiększać się przez dorowizny, zapisy, procent od powstałych ztąd sum, wreszcie z kar za niszczenie podatku. Każda osoba pracująca ma prawo do uzyskania emerytury bez różnicy płci, wyznania, co warunkuje wiek lat sześćdziesiąt, oraz pracy lat czterdzieści. Projekt jest chwalebny, ale słabą stroną rzeczy jest, że cały ciężar

spada na pracodawców, z pośród których znaczna bardzo liczba nie ma też bynajmniej zabezpieczonej przyszłości. Potrzeba też jeszcze rozpatrzyć projekt, obok czego zapytać też można: czy i pracującym nie należy dokładać się tu w części pewnej do jego urzeczywistnienia?

— Dyrektor zakładu gimnastycznego w mieście naszym, p. Maryan Olszewski urządził bezpłatne lekcye gimnastyki na otwartem powietrzu w ogrodzie przy ulicy Kalixta dla dzieci niezamożnych rodziców, które przedstawia świadectwo ubóstwa, wydane przez opiekunów cyrkulowych. Lekcye odbywają się w piątki i środy od szóstej do wpół do ósmej godziny wieczorem, uczęszcza na nie 130 dzieci, tak chłopców, jak dziewczynek.

— Malarz, Józef Ryszkiewicz, zbudował sobie w Wiązowni pod Miłoszą pracownią wraz z mieszkaniami, gdzie malować będzie lud wiejski, oraz konie w warunkach najlepszych, bo w pełnym słońcu i powietrzu. Do działu malarstwa religijnego przybyły nam dwa obrazy: prof. Gersona „Święty Maciej“ i Kotarbińskiego „Chrzest Chrystusa“.

— Kommissya paryzka, sprawdzająca wyniki doświadczeń dokonanych przez braci Paulin elektryzowania ziemi za pomocą przyrządów zwanych geomagnetyferami, zwiększa się w takim stosunku, że na równych co do przestrzeni i gatunku ziemi działach roli, obsadzonych kartoflami, dział elektryzowany za pośrednictwem geomagnetyfera wydał 28.000 kilgr. kartofli, nieelektryzowany 18.000. Doświadczenia i badania czynione w winnicach wydały podobne rezultaty urodzaju jagody winnej. Czy przecież ta podniecana płodność ziemi nie okaże się potem zgubną w skutku zmęczenia gleby, tak sztucznie podniecanej?

— W Zakopanem jest obecnie 1.000 przyjezdnych, a między innymi znajduje się tam Smolka, Sienkiewicz, Chmielowski, Gerson, Witkiewicz, Bujwid.

— Na zjazd pedagogów we Lwowie przybyło 1.200 uczestników. Obrady zagaił w sali ratuszowej ks. Czartoryski, na prezesów honorowych wybrano: Chmielowskiego, E. Czerkawskiego, Małeckiego, Mottyego, Tarnowskiego, na prezesów rzeczywistych St. Badeniego, Jordana i Kulczyckiego.

— Na zjeździe literackim we Lwowie obraduje trzystu uczestników, prezesami honorowymi zostali wybrani: Adam Asnyk i poeta czeski Vrchlicki, prezesem rzeczywistym zjazdu jest Antoni Małecki, vice-prezesami są: Miłkowski i Karłowicz; prezesami sekcji literackiej są: Chmielowski i Józef Tretiak, w sekcji ludowej Celichowski i Miebejda, w sekcji dziennikarskiej hr. Wojciech Dzeduszycki, w sekcji językowej Baudoin de Courtenay i Kalina. Po zagajeniu zjazdu przez ks. Adama Sapiechę, prezesa wystawy, przemawiali: Antoni Małecki, Zygmunt Miłkowski i Edward Jelinek, na zakończenie pierwszego zagajenia miał odczyt Chmielowski.

Do dzisiejszego numeru „Bluszczu“ dołącza się **Zuch dziewczyna**, przez autorkę powieści „Lady Verner“, przekład z angielskiego, T. II, ark. 10.

**TREŚĆ:** Pogawędka, przez ?? — Skowronek, przez A. Lange. — Bez woli, powieść przez Wandę Grot Bęczkowską (dalszy ciąg). — Kobiety-poetki, przez Antoniego Pileckiego (dalszy ciąg). — Z Ameryki. — Co słychać w rodzinie Połanieckich. II. (dokończenie). — Z bieżącej chwili.

**Dodatek obejmuje:** Arkusz 10 ty T. II, **Zuch dziewczyna**, przez autorkę powieści Lady Verner, przekład z angielskiego. — Przegląd mód. — 32 wzorów i robót z opisem. Sekretu gospodarskie. — Dyspozycya stołu.